Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 41 Warszawa, Niedziela, 25 października 1936. Rok I

OBCE AGENTURY

W poprzednim numerze WIEM WSZYSTKO opublikowaliśmy pod tytułem: „Uwaga! Szpieg podsłuchuje!" artykuł, który wywołał wielkie wrażenie i bardzo dużo wrzawy. Sprawdzianem najlepszym będą tu liczne przedruki w prasie całej Rzeczypospolitej. M. in. zacytował nas bardzo obszernie, ale jednocześnie... bardzo dziwnie „Robotnik". Piszemy „dziwnie", bo albo tygodnik nasz jest tak mało istotnym wydawnictwem, że nie warto wymieniać jego nazwy, to ki diabeł każe publicyście z „Robotnika" korzystać z naszego materiału, albo też drukujemy materiał interesujący, godny przedruków, z bardzo zresztą trafnymi komentarzami „Robotnika"

dla czego wówczas tajemniczy pan „XYZ" z naszych materiałów korzystający, nie ma odwagi napisać skąd te materiały zaczerpnął?

Gdzie, jak gdzie, ale w oficjalnym organie PPS spodziewaliśmy się znaleźć więcej poszanowania ludzkiej pracy...

Przejdźmy jednakże nad tą drobnostką do dalszych etapów niniejszego artykułu.

Echo, jakie artykuł poprzedni wywołał w naogół dość zobojętniałej opinii społecznej, utwierdza nas w przeświadczeniu, żeśmy poruszyli słuszny temat, że wyciągnęliśmy na światło dzienne jedną z rozlicznych bolączek, nie wiadomo dla czego dotychczas wstydliwie okrywanych całunem milczenia.

Ba, ale artykuł o wrogach naszego państwa wciskających się sprytnie do różnych gałęzi polskiego przemysłu byłby nie pełny, gdybyśmy milczeniem pokryli drugą, ściśle z poprzednim tematem związaną, a kto wie czy nie groźniejszą jeszcze bolączkę, której na imię: obce agentury.

Nie naszą rzeczą jest podglądać czy czynniki składające się na te właśnie obce agentury biorą pieniądze, czy nie, a jeśli biorą, to ile i który bank, w jakiej formie pieniądze te im wypłaca.

Nie obchodzi nas zupełnie czy wspomniane czynniki goszczą u siebie kurierów ościennych mocarstw, którzy przywożą im zarówno wspomnianą gotówkę, jak i bibułę czy tylko instrukcje.

Dobrze zorganizowane kadry policji politycznej wespół z innymi organami powołanymi do walki ze zbrodnią stanu, znakomicie dadzą sobie radę z ustaleniem czy członkowie obcych agentur

to zwykłe, za chlebem z masłem i kawiorkiem tęskniące łapsy, czy też ideolodzy przybrani w uroczyste togi pracy kulturalno-oświatowej, społecznej bądź literackiej.

Na tym odcinku policja ma zapewnioną ciekawą i długotrwałą pracę, uwieńczaną co pewien czas mniej lub więcej interesującymi procesami.

Nas interesuje co innego.

Chociaż ołówek cenzora często „holendruje" po szpaltach naszego pisma, chociaż tym i owym dygnitarzom nie podoba się ton naszych artykułów, chociaż ta i owa szuja, przykucnąwszy za płotem okadza nas odorkiem najpodlejszych inwektyw, my, nie stawiając ani przed Bogiem świeczek, ani przed diabłem ogarków, idziemy naprzód po trudnej drodze do potężnej i czystej Polski Józefa Piłsudskiego, Polski ludzi mocnych, pewnych, nie koniunkturzystów, ani też „pięknoduchów" polujących na kompromisy.

I to właśnie, nieskomplikowane „credo" zmusza nas do zainteresowania się bardziej istotnym szczegółem obcych agentur. Obchodzi nas

czy działalność ludzi tworzących te agentury, działalność wewnątrz Polski jest na... rzecz Polski, czy na jej niekorzyść?

To jest strona najbardziej istotna, wymagająca najgruntowniejszego naświetlenia. I podczas, gdy prawo będzie interesowało się zakamarkami finansowo-technicznymi tych agentur, nas jako niezależnych, tylko dobra Polski pragnących publicystów, obchodzi najbardziej to czy ludzie, którym może niesłusznie przylepiamy etykietę obcych agentur, pracują dla Polski czy przeciw Niej.

Odpowiedź na to pytanie znakomicie rozwiązuje problem właściwości określenia: „obca agentura", usuwa może nazbyt pochopne, nie raz wręcz śmieszne szafowanie tym określeniem, wprowadza wreszcie do wewnętrznej rozgrywki element nie odzownego w takich wypadkach spokoju i opanowania.

I decydując się na odpowiedź, w pełnym zrozumieniu odpowiedzialności za każde nieopatrznie wypowiedziane, nie ugruntowane należycie słowo, stwierdzamy, na podstawie długotrwałych obserwacyj, że: w polskiej rzeczywistości, w przedziwnym klimacie tego kraju, który trzeba do głębi przeorać „aż w krzyżach będzie trzeszczało", kraju wciśniętym w obręcz „przyjaciół", bystro obserwujących każde poruszenie i tęsknie wyczekujących najdrobniejszego chociażby „fałszywego kroku",

bez najmniejszego wahania obcymi agenturami można nazwać te wszystkie piękne, efektownie przystrojone ligi i stowarzyszenia, reklamujące wsiem, wsiem, wsiem, miłość bliźniego, powszechne braterstwo, ogólno światowy pacyfizm. I te ligi od obrony praw człowieka i obywatela, i te od super-pacyfizmu, i te stowarzyszenia wolnomyślicieli „polskich", ten cały balast umiejętnie i fachowo przygniatający karabin polskiego żołnierza.

Obcymi agenturami są dla każdego uczciwego Polaka te wszystkie, rozliczne wydawnictwa, dla których Polska jest jedynie i wyłącznie terenem bezkarnego, ba, nieraz aprobowanego żerowiska.

A kiedy już mowa o obcych agenturach, kiedy zdecydowaliśmy się na bezkompromisowe prześwietlenie ich oficjalnych szyldzików, nie sposób jest przejść cichcem obok... p. Rzymowskiego.

Sprawa jego, jeszcze dwa czy trzy miesiące temu rozpalająca w całej uczciwej opinii polskiej najwyższe oburzenie, dziwnie przycichła. I chociaż przeciw Wincentemu Rzymowskiemu wystąpiła olbrzymia większość prasy polskiej,

niefortunna „eskapada lwowska" rozeszła się po kościach.

I my byśmy nie powracali do tego mało wonnego tematu, gdyby w grę nie wchodziła nie tyle osoba p. Rzymowskiego, ile godności przezeń piastowane. Bo jakże można dzisiaj tępić w imię Rzeczypospolitej rozpaczliwą nędzę żydowskich komunardów, gdy gdzieś w przestrzeni zawisła wina p. Rzymowskiego?

Jakże Pan może na to pozwolić, p. Rzymowski? Pan, w którego inteligenckich, przemądrzałych artykułach tyle razy spotykaliśmy... obronę jakichś tam „praw" czy „swobód".

A może Pan nie rozumie, czy nie chce zrozumieć istotnej sytuacji? Pan, „bywszy czeławiek" nie wie ani przeciwko komu, ani jak mamy bronić się! Nie rozumie Pan metod, że nie można komuś podawać jednej ręki, bijąc go drugą w zęby! Że nie można umizgać się do wrogów społecznego ładu i pochwalać dywersję, a jednocześnie nawoływać do walki z nimi. Nie rozumie Pan,

że my — młodzi — mamy prawo wymagać od mieniących się ojcami ojczyzny elementarnej uczciwości, która nie pozwoli im, biorąc pieniądze od „faszystów", bronić jednocześnie kultury przez tychże „faszystów" zagrożonej.

Ale oto wydaje nam się, że niepotrzebnie zagalopowaliśmy się, że niektóre prawdy Pan rozumie dobrze. Są to prawdy „koniunkturalne", bo oto nikt inny, a właśnie Pan, po obronie „Płomyka" po lwowskich wystąpieniach, oświadczył się

za... koniecznością walki z komunizmem.

Mówiąc o Panu, nie możemy nawet zastosować słów Szekspira:

„pański wiek budzi we mnie więcej szacunku, aniżeli broń pana",

bo niestety, mimo palm akademickich, mimo ponoć górnej przeszłości, nic z Pańskiej osoby nie budzi w nas szacunku, p. Rzymowski.

Ton, którym mówimy o Panu, ma prawo nie podobać się Panu. Zgoda! Może Pan nas zaskarżyć do sądu! Zgoda! Może Pan narobić wrzasku i użyć autorytetu tych Instytucji czy osób, do których mimo Ich stosunku do Pana czujemy należny szacunek. Zgoda! Może Pan nawet formalnie sprawę wygrać.

Ale to nie zmieni ani na jotę sytuacji, bo w naszych sumieniach swej sprawy Pan nie wygra, bo dla nas Pan nie może być ani wychowawcą, ani nauczycielem młodej, uczciwej Polski.

I jeszcze parę słów,

sprecyzowanie tego co rozumiemy pod nazwą: „obca agentura". Jest nią, w naszym pojęciu ugrupowanie, stronnictwo, instytucja czy wreszcie osoba, której ośrodki koncepcyj ideowych leżą poza granicami Polski. Czy to Panu niczego nie tłumaczy, p. Rzymowski?

Spectator.

Nasz sukces

Jeszcze w maju i czerwcu b. r. „WIEM WSZYSTKO" poruszyło parokrotnie stosunki panujące w naszej spółdzielczości.

W jednym z artykułów specjalnie omówiono działalność prezesa Państwowej Rady Spółdzielczej p. Pomijalskiego.

Artykuł ten p. t. „Spółdzielczość czy... zgrane towarzystwo wzajemnej adoracji", wywołał wielkie wrażenie zarówno w min. skarbu, jak i wśród wszystkich spółdzielców.

Mimo poruszonych w nim wielu spraw niezmiernie przykrych, z Państwowej Rady Spółdzielczej nie nadesłano nam ani słowa sprostowania. Nic dziwnego. Fakty zawsze przemawiają dobitnie.

Artykuł ten kończył się apelem do p. wiceministra Lechnickiego, aby zechciał zainteresować się stosunkami panującymi na terenie Rady.

Apel ten, jak się obecnie okazuje, nie minął bez echa. P. wiceminister Lechnicki, ustępując ze swego stanowiska, nie zapomniał jednak usunąć z prezesury Państw. Rady Spółdzielczej p. Pomijalskiego, któremu ponoć wytoczono nawet postępowanie dyscyplinarne.

Zarazem mianowano nowego prezesa Państw. Rady Spółdzielczej, p. Stanisława Sadkowskiego, radcę Departamentu II obrotu pieniężnego.

Zmiana na stanowisku prezesa Państwowej Rady Spółdzielczej jest jeszcze jednym widomym znakiem skutecznej i pożytecznej działalności naszego pisma. W dalszej też pracy nad oczyszczeniem panującej nie raz w Polsce niemiłej atmosfery moralnej, nie będziemy ustawać ani na chwilę.

Dyplomaci przed obiektywem

Tajemnica „uśmiechniętych twarzy" w Genewie

Genewa w październiku.

Dewaluacja wywołała popłoch w Europie. Hiszpania spływa krwią w bratobójczej walce, Hitler potrząsa opancerzoną ręką w Norymberdze. W Rosji Woroszyłow, zapowiada wojnę zaczepną, różne światopoglądy i systemy rządów, grożą każdej chwili nowym wybuchem, — w Genewie zaś 25-ciu czy 30-tu ministrów spraw zagranicznych różnych państw *uśmiecha się uprzejmie do siebie*, — żaden nie patrzy na drugiego krzywo, żaden nie odsuwa się demonstracyjnie od drugiego, nie padnie żadne ostrzejsze słowo, witają się uprzejmie, wyrażając radość, że się „kochanego kolegę" widzi w dobrym zdrowiu i, że znowu wszyscy znaleźli się razem...

Stoję dyskretnie za filarem, obok angielskiego kolegi i obydwaj z zainteresowaniem śledzimy osobliwą grę, jaka tu się odbywa.

Oto kilka przykładów.

Nieporozumienie między Polską, a Czechosłowacją?

Możliwe, ale na genewskim tle, to wygląda inaczej. Oto czechosłowacki minister spraw zagranicznych, dr. Krofta, przystojny mężczyzna o jasnych niebieskich oczach. Spostrzegam w bocznych drzwiach wysoką, smukłą postać płk. Becka. Na twarzy jego zjawia się wesoły uśmiech. Wymieniają serdeczny uścisk dłoni, pada tradycyjne uprzejme zapytanie: „Comment allez - vous?". Ani śladu wzajemnej niechęci.

Inny obraz: w Madrycie zamordowano trzy siostry konsula Urugwaju. W następstwie ostry zatarg między Hiszpanią, a Urugwajem. Stosunki dyplomatyczne między Madrytem, a Montevido zerwane! Nic podobnego, bo przecież nie jestem ślepy, ani pijany; oto o parę kroków odemnie stoi delegat hiszpański Alvarez del Vayo, najuprzejmiej rozmawiając z delegatem Urugwaju p. Guani.

— Ciekawy jestem; mówi do mnie szeptem angielski kolega;

— *czy on też poda na pożegnanie rękę p. del Vayo?*

Przecież między ich państwami wytworzył się prawie stan wojenny...

Cóż za pesymizm!

„A zatem, au revoir" ekscelencjo — mówi Guani, a p. del Vayo z grzecznym uśmiechem skłania głowę przed człowiekiem, który *publicznie napiętnował postępowanie rządu hiszpańskiego, jako okrucieństwo.*

Nawet Szwajcar Motta i sowiecki minister Litwinow nie mijają się obojętnie. W kuluarach Ligi, w ciasnym kurytarzu, prowadzącym do sali posiedzeń, zwłaszcza przed głosowaniem trudno spotkania uniknąć. Pan Motta i bolszewicki komisarz ludowy, natknąwszy się na siebie, uśmiechają się uprzejmie i wymieniają uścisk dłoni. A przecież brzmią mi jeszcze w uszach słowa Motty, kiedy chodziło o przyjęcie Sowietów do Ligi Narodów. Charakteryzował wiedy w *ostrych słowach grozę bolszewizmu dla Europy*, zwracał się z gorącym wezwaniem do Członków Ligi, by bezwarunkowo do grona nie przyjmowali państwa, które odrzuca i rujnuje wszelkie zasady cywilizacji.

Ale... podobnych ostrych deklaracji, nikt w Genewie nie traktuje osobiście.

Oto inny dowód.

Od kilku lat w domu delegacji, łotewskiej spotykają się przy obiedzie podczas każdej sesji, litewski minister Łazaraitis i nasz płk. Beck. Czyż z tego wynikły jakiekolwiek trudności w protokółach dyplomatycznych? Broń Boże! Przeciwnie obaj ministrowie prowadzą przy kawie ożywioną rozmowę, a nikt, ktoby ją posłyszał, nie przypuściłby, że sprawa Wilna dla Łazaraitisa nietylko istnieje, *ale jest dlań „otwartą, jątrzącą raną" i niema widoków na jej załatwienie.*

Tu wszyscy są uprzejmi, życzliwi, przyjaźnie uśmiechają się do siebie. Nie raz już rzucono pytanie, jak to możliwe, że stosunki międzynarodowe kształtują się tak groźnie, kiedy ministrowie, polityczni sternicy państwa, żyją ze sobą w tak przyjemnych stosunkach?

Pewien dziennikarz austriacki dowcipnie wyjaśnił tę zagadkę: „Wie pan, dla czego ci panowie wiecznie się uśmiechają? Oto pełno tu fotografów; jak dzień długi kręcą się po salach pałacu Ligi i robią zdjęcia każdego spotkania, powitania — utrwalają na błonach swych aparatów wszystko, co może zainteresować czytelników. Tak się dzieje od lat piętnastu. Możnaby powiedzieć, że wytworzył się pewien styl. A nikt przecież *nie chce na odbitce w dzienniku mieć miny złej lub zatroskanej.*

Możliwe. że w tym określeniu mego austriackiego kolegi jest trochę prawdy; panowie ministrowie przez cały dzień, widzą groźnie na siebie zwrócone obiektywy aparatów: cóż pozostaje, jak robić wesołe miny?

Nie do uwierzenia — a jednak potwierdzi to każdy, kto zna stosunki w Lidze Narodów — *jak bardzo interesują się własnymi podobiznami najbardziej wpływowi i najpotężniejsi na świecie ludzie.*

Kilka kroków przed wejściem do wielkiej sali posiedzeń ulokowano mały kiosk z fotografiami. Kto ciekaw, niech popatrzy, jaki tam tłok przed każdym posiedzeniem, ludzie się cisną tak, że przepchać się trudno. Panowie ministrowie państw wielkich i małych grzebią nerwowo w stosach fotografii, jak małe dzieci w zabawkach, szukając własnych podobizn.

Ot, angielski minister, spraw zagranicznych, bierze do ręki mnóstwo zdjęć, odrzuca wszystkie te, na których siebie nie znajduje, a odkłada na bok te, na których widzi swe oblicze. By lepiej widzieć, nałożył okulary *i niecierpliwie czeka, by mu podano zdjęcia, których jeszcze nie przejrzał.*

W kurytarzach rozlega się już dzwonek, posiedzenie zacznie się za chwilę. A pan „sekretarz stanu" Jego Kr. Mości króla Anglii i zjednoczonych królestw, ciągle jeszcze przerzuca fotografie, bo co chwilę natrafia na własne. Stałem blisko, znalazłem właśnie fotografię dużego formatu z głową Antoniego Edena.

„Ekscelencjo! — pozwoliłem sobie powiedzieć — oto doskonałe zdjęcie pańskiej głowy. Szybko zwrócił ku mnie swą dystyngowaną twarz, która zajaśniała uśmiechem: „Ach dziękuję bardzo; thank you very much". Obejrzał podaną fotografię i z miną, wyrażającą zawód rzekł, ach! tę już mam". No pięknie, ale to Eden, o, którym i w Londynie mówią, że jest trochę próżny. Właśnie nadchodzi Litwinow. Czy ten się zachowa inaczej? Chyba o tyle, że zdejmuje okulary, bo jest ostrowidzem, *a chce przecież dokładnie fotografię obejrzeć.*

Poza tym zdradza takie same zainteresowanie, jak minister angielski, tylko, że za nim kroczy dwóch „gepistów", którzy nie pozwalają się nikomu zbliżyć do komisarza ludowego. Ktoś z jego otoczenia pomaga przeglądać fotografie. Poznaję sowieckiego „polpreda".

Podobno czeski minister Benesz winien jest temu, że członkowie Ligi popadli w istną „fotomanię". Kiedy był przewodniczącym Ligi, raz, przed rozpoczęciem obrad pozwolił sobie na taki dowcip: uderzył młotkiem w stół prezydialny i miał powiedzieć: *„Moi panowie, pierwszy punkt porządku dziennego, wspólna fotografia".*

Czternastu członków Rady, jakby tkniętych prądem elektrycznym, zerwało się z miejsc, jakby się rozchodziło o arcy ważne sprawy ich państw. Wzrok ich przykuł obiektyw aparatu. Paweł Boncour wprost opętany fotomanią, wyciągał wtedy pospiesznie grzebyczek z kieszeni, by przygładzić swoją siwą lwią, robespierowską grzywę, Eden, który nawet przy stole obrad poleruje swoje piękne paznokcie, zaprzestaje tej pracy, nawet niedźwiedziowaty Litwinow, przybiera dostojną pozę, ubrawszy twarz w oblesny uśmiech...

Nic dziwnego, że w dziennikach i na ilustracjach oglądamy później twarze ludzi uprzejmych i opanowanych.

Jakże to możliwe? spyta ktoś— przecież *posiedzenia Ligi bywają nieraz skandaliczne, burzliwe,* więc twarze uczestników nie mogą być tak pogodne.

Zaraz to wyjaśnię.

Z chwilą, gdy ma się zacząć posiedzenie, przewodniczący daje znak obecnym na sali fotografom; muszą natychmiast wraz z aparatami opuścić salę. Powoli i niechętnie ulegają rozkazowi.

To też nie ma zdjęcia, któreby uwieczniło np. chwilę, kiedy to gdański prezydent Greiser, pokazał Lidze „figę", a dziennikarzom swój pruski języczek.

No, ale takich scen przecież uwieczniać nie wypada... *(M.)*

Pancerne Niemcy

Szalone zbrojenia III Rzeszy

BERLIN, w październiku.

Tegoroczne manewry jesienne armii niemieckiej były niewątpliwie najpiękniejsze od roku 1913.

Chodziło w tym wypadku nietylko o wypróbowanie sprawności żołnierza, ale i to przede wszystkim, o praktyczne wypróbowanie wszystkich tych zdobyczy, które po nader mozolnej pracy zostały już teoretycznie *uznane za dobre w autorytatywnych biurach sztabu głównego.*

Biorąc pod uwagę, że Niemcy III-ej Rzeszy mają *coraz mniej czasu na... teoretyczne rozważania,* manewry tegoroczne miały nader specyficzne znaczenie.

Ośrodkiem tych prób w czasie tegorocznych manewrów jesiennych były, obok samolotów, najnowszej broni przeciwlotniczej (armaty o specjalnym optycznym mechaniźmie) i hełmów z dur-aluminium — tanki, najnowszego modelu. *zwane dla swych wielorakich możliwości użytkowych... „ALL-TANK",* co możnaby przetłumaczyć na „wszędzie tank".

Poraz pierwszy zastosowano na tych właśnie manewrach ten nowotwór z dziedziny czołgów.

Nowy twór wymyślności niemieckich konstruktorów maszyn wojennych *ważący zaledwo 8 ton nie ma wcale gąsiennic, jak dotychczas konstruowane tanki, porusza się natomiast na kołach o... 16-tu rozmaitych rozmiarach.*

Specjalna konstrukcja kół oraz samoczynny napęd każdej z 8 osi umożliwia użycie tej nowej maszyny tanku w każdymkolwiek bądź terenie, a tym samym i łatwe przezwyciężanie wszelkich trudności terenowych.

Nowych tanków użyto w toku manewrów specjalnie do wykonywania niespodzianych ataków.

Tanki te rozwinęły na szosach i drogach szybkość... 80 km. w terenie zaś górzystym około 45 km., a więc równą szybkości... sportowego auta, chociaż... uzbrojenie każdej takiej maszyny składa się z 2 armat i 4 c.k.m., a załoga z 6 ludzi. Napęd 2 motory 12-to cylindrowe.

Nowy tank jest dziełem... fabryki wagonów N.A.G. — Bussing — Berlin — Oberschoneweide.

Prace przygotowawcze nad budową nowego typu tanków trwały przeszło rok, a gdy próby dały wynik zadawalający fabryka otrzymała zamówienie na wykonanie. *na razie 50 do 60 tanków tego typu.*

Po skończeniu manewrów, badane są obecnie ponownie praktyczne już wyniki, osiągnięte w terenie operacyjnym i zależnie od tych wyników badań przystąpi f-a N.A.G. — Bussing do seryjnej budowy tych tanków, co napotka niewątpliwie na wielkie trudności. Z jednej bowiem strony liczyć się należy z tym, że f-a. N.A.G. — Bussing pracuje już obecnie nad wykonaniem uzyskanych poprzednio zamówień materiałów wojennych pełną parą i że dopiero za półtora roku conajmniej będzie w stanie przystąpić do wykonania nowych zamówień. Z drugiej zaś strony, trudność w wykonywaniu nowych zleceń leżyć będzie w braku odpowiednich ilości surowca, koniecznego do sporządzenia odpowiednich stopów, bez których konstrukcja nowego typu tanków obejść się nie może.

Ale... wobec tego, że uzbrojenie, dozbrojenie i... nadzbrojenie Niemiec poszło i idzie ciągle dalej z szybkością nigdzie indziej nie spotykaną przeto nie ulega wątpliwości, że i budowa nowego typu tanków równie nastąpi w takim samym tempie, mimo pozornie niezwyciężalnych przeszkód.

O trafności naszych przewidywań świadczyć może chociażby tylko *fakt budowy specjalnej, ogromnej fabryki w Grossbeeren koło Berlina. W fabryce tej wytwarzać będzie firma Daimler-Benz wyłącznie tanki najnowszego wyżej omówionego typu.* *Kapitan Nobody.*

Czerwona gwiazda nad Marocco

Podziemna robota Kominternu w koloniach francuskich

Zaczęło się właściwie od tego, że na szeregu ostatnich posiedzeń sekretariatu generalnego Kominternu w Moskwie, tow. Dymitrow, sławny ze swych niemieckich perypetyj, jasno i zdecydowanie sprecyzował stosunek Moskwy do... generalnego rezydenta Republiki Francuskiej w Marokko p. Peyrouton'a.

PORAŻKA GUBERNATORA

Czym zasłużył sobie rezydent Republiki, w której wszakże rządzi dzisiaj... Front Ludowy, na takie zainteresowanie Kominternu, długoby trzeba było pisać. Faktem jest, że chociaż w 100% lojalny dygnitarz Republiki, bez względu na to pod jaką flagą żagluje ona, gubernator Peyrouton

wsławił się jako człowiek żelaznej ręki i wyraźnego oblicza,

człowiek, który pod żadnym pozorem nie mógł zdecydować się na to, aby w Marokko miał coś do powiedzenia... Komintern.

Niestety, p. rezydent, jedna z ładniejszych i szlachetniejszych postaci Republiki, niezbyt dokładnie obliczył swe siły. I oto prasa całego świata dowiedziała się, że... p. Peyrouton odwołano...

Nie chcemy przesądzać, że do odwołania tego, które podpisał premier Blum i sławny minister spraw wewnętrznych Republiki, p. Salengro, w najmniejszym chociażby stopniu przyczynił się... Komintern, nie, uchowaj Boże, takie podejrzenia byłyby conajmniej złośliwe, a jednak...

tow. Dymitrow wilkiem zerkał na p. Peyrouton

i... p. Peyrouton poszedł na grzybki.

TOW. BARTHEL NA HORYZONCIE!

Oczywiście jest to zwykły przypadek, którego w żadnym razie nie wolno wiązać z tym, że natychmiast po dymisji p. rezydenta Republiki, przeniesiono dotychczasowego łącznika między Kominternem a MOPR'em w Marokko tow. M. Barthel'a, który od tej chwili „urzęduje“ w Paryżu pod adresem: 5, Passage Violet, pozostając zresztą pod ścisłym nadzorem

tow. Pierre Semard, sławnego emisariusza sowieckiego na terenie Marokko.

Dla zorientowania czytelnika polskiego warto dodać, że tenże właśnie Semard był autorem szeregu strajków na terenie Afryki Północnej, strajków, które niewątpliwie bardzo zaciążyły na pierwszych poczynaniach rządu prem. Bluma. Godzi się przy okazji zaznaczyć, że tow. Semard w swoim czasie pozostawał w zażyłej przyjaźni z buntowniczym wodzem Riffu Abd-el-Krimem. Fakt ten prawdopodobnie pyczynił się do tego, że niedawno całą prasę europejską obiegła pogłoska o ...zwolnieniu Abd-el-Krima. Oczywiście pogłoska ta jest najzupełniej bezpodstawna, natomiast faktem jest, że *rząd francuski zezwolił całemu szeregowi b. przywódców buntowniczych szczepów marokańskich, w swoim czasie walczących przeciw Francji, przenosić się wedle własnej woli z miejsca na miejsce, aby w ten sposób przyczynić się do utrudnienia działań gen. Franco,*

nie ulegało bowiem wątpliwości, że przywódcy szczepów riffeńskich dołożą wszelkich sił, aby oderwać od znienawidzonego Hiszpana swych współbraci, którzy zdecydowali się pospołu z nim walczyć przeciwko czerwonej republice hiszpańskiej...

Tow. Barthel bardzo energicznie przystąpił do organizacji powierzonego mu odcinka, którego zbolszewizowanie stanowi dla Francji cios jeśli nie śmiertelny, to w każdym razie bardzo bolesny.

„SZEF SZTABU“

Szefem sztabu, kierującego działaniami na terenie Afryki Północnej, został b. emisariusz Kominternu w Kochinchinie „sławny“

Robert Deloche, który w swoim czasie wywołał masakrę francuskich oficerów i żołnierzy przez kochinchińskich tubylców.

Deloche jak przystało na tęgiego konspiratora, występuje w Paryżu jako... handlarz starożytności i w tym charakterze otworzył sobie w francuskiej pocztowej kasie oszczędnościowej konto nr. 195,208.

Szef sztabu akcji bolszewickiej w Marokko ma do swej dyspozycji cały legion współpracowników, którzy stale pozostając w rozjazdach po Ameryce Północnej, Syrii, Indochinach, etc. dostarczają mu znakomitych, bardzo źródłowych informacyj. Na czoło plejady tych „komiwojażerów“ tow. Deloche wysuwają się takie „asy“, jak np. Pique, Grillot, Zimermann (znany w Polsce), Mouniot, Vallon, Segal (znany w Polsce) Terault i in.

SŁUGUS PIATNICKIEGO

Szefem „oddziału operacyjnego“, jeśli idzie o Afrykę Północną jest tunezyjczyk Hamda, kilkakrotnie karany już przez władze francuskie za działalność antipaństwową i rewolucyjną. W czasie pamiętnego powstania w Marocco Hamda pozostawał na służbie ówczesnego sekretarza Kominternu i kierownika biura „Insurekcji i konspiracji“ Piatnickiego. Dzisiaj Piatnicki jest w niełasce, zato

Hamda, który kierował również licznymi przedsięwzięciami anti-włoskimi w Tripolitanii

wysforował się naprzód, mając do swej dyspozycji cały sztab znakomicie wyszkolonych ludzi.

Kierownictwo oddziału: „Agitacji i propagandy“ spoczywa w rękach dr. Grzegorza Halperina z Odessy. Warto nadmienić, że dr. Halperin (znany doskonale w Polsce) w tajemniczy sposób uzyskał obywatelstwo francuskie. W skład jego sztabu wchodzi szereg pierwszorzędnych fachowców, m. in. Rabach, Ali Sikhtar, Ben-Ali-Kerim. Zadaniem ich jest redagowanie, druk i kolportaż „bibuły“ propagandowej. „Technikem“ w tym zgranym „zespole“ jest tow. Henri Porte, pracujący stale w Syndykacie Drukarskim Paryża — 33, rue de la Grange aux Belles...

„OBSERWATOR KOMINTERNU“

Że Moskwa przywiązuje specjalnie wielką wagę do działalności Kominternu w Marokko francuskiem, świadczy o tym najwymowniej fakt mianowania specjalnego „obserwatora“, którym jest niejaki Ali Saddi, w kołach zaufanych noszący przezwisko: „Oko Dymitrewa“. Saddi zasadniczo mieszka stale w Paryżu przy 25, rue d'Alsace, nie przeszkadza to jednak, że bardzo często odbywa podróże do Afryki,

a regularnie co miesiąc jeździ do... Moskwy.

Ostatnio organizacja tow. Barthel'a licząc się z ewentualnymi trudnościami związanemi z kolportażem bibuły propagandowej z Francji do Marokka, postanowiła uruchomić własną, najbardziej nowocześnie wyposażoną drukarnię w... Oranie. O ile nam wiadomo w tej chwili sprawa ta została już definitywnie załatwiona.

CZERWONA MILICJA

Pod hasłem samoobrony tworzy się na terenie całego Marokka. milicję, w której skład wchodzą jedynie tubylcy. Komendantem marokańskiej milicji, finansowanej przez Komintern jest notoryczny komunista znakomicie znany na terenie Tunisu El'Hambra. Zadania tej „milicji“ sprowadzają się do:

1. *czynienia przeszkód kolonistom europejskim w odzyskaniu ziemi obsadzonej przez miejscowych robotników rolnych.*
2. *udzielanie pomocy robotnikom przy okupacji fabryk.*
3. *przeszkadzanie, względnie uniemożliwianie w zebraniach i manifestacjach związków nacjonalistycznych.*
4. *akcji terorystycznej, zamachom na znane osobistości obozu umiarkowanego.*
5. *przygotowywania napadów na żandarmerię i gwardię narodową.*

Na czele biur rekrutacyjnych stoją tow. tow. Picot, Lemaire, Vilotte, oraz Ben-Nazib, Ali-Toukab i Seif. Pierwsza transza ma obejmować, 10.000 milicjantów. Finansuje organizację „Profintern“, który na ten cel *otworzył na razie kredyt w wysokości 2 milionów franków.*

W chwili obecnej kadra milicji rozporządza kilkoma tysiącami rewolwerów automatycznych i paruset K. M. Na czele sekcji dostarczającej broń stoi niejaki Lozeray.

DO HISZPAŃSKIEGO MAROKKA

Łączność z Marokko hiszpańskiem jest już nawiązana i wszystko wskazuje na to, że działalność Kominternu przesącza się również na tamtejszy teren, którego „opracowanie“ zostało powierzone 2 wychowankom Komunistycznego Uniwersytetu Wschodu (Moskwa, pl. Puszkina 3) Al-Arbi i Mustafa-Aleka. Ponadto, w chwili obecnej na terenie Marokka hiszpańskiego działa nader aktywnie Abdel-Habek-Torres, któremu powierzona została misja obalenia sułtana.

Ten emisariusz Kominternu prowadzi akcję swą pod hasłem: Pan-Marokka.

Reasumując nie trzeba być specjalnym pesymistą, by opierając się na wyżej wymienionych faktach nie uświadomić sobie jasno,

że kwestia wybuchu rewolty komunistycznej, w Północnej Afryce, jest kwestią... dni,

zwłaszcza dzisiaj, gdy zabrakło ciężkiej dłoni p. Peyrouton...

Argus.

Przed kołem szczęścia

O zdobyciu pieniędzy marzą wszyscy, najgoręcej ci, którym życie skąpi swych uśmiechów i radości. Zdobywać pieniądze nie jest jednak rzeczą łatwą w dzisiejszych czasach. Więc ten i ów próbuje szczęścia na drodze hazardu.

Gry hazardowe kończą się prawie zawsze jednakowo: przegraną. I to nie taką przegraną, na jaką ostatecznie gracz mógłby sobie pozwolić, ale z reguły przegraną, przewyższającą możliwości płatnicze ryzykanta. Skutki takich przegranych są po największej części tragiczne i czytamy o nich— niestety — dość często w kronice nieszczęśliwych wypadków: „pan X odebrał sobie życie, powodem zamachu samobójczego była większa przegrana“.

W grach hazardowych niewiadomo ile można wygrać i — co ważniejsze — niewiadomo ile można przegrać. Wygrywa jeden, przegrywa z kretesem stu. To jest reguła.

Na tej drodze do pieniędzy się nie dojdzie.

Ludzie, którzy lgną mimo to do hazardu, gdy się ich przekonywa, że są inne pewniejsze i bezpieczniejsze sposoby dojścia do majątku, że istnieją inne rodzaje gry, pozbawione hazardu i nie narażające na utratę czci, honoru i życia, odpowiadają: „Ba, ale nie mam cierpliwości, nie mogę czekać, a tu może w jednej chwili zbogacę się“.

Oczywiście, desperatom, którzy chcą skręcić kark, trudno wyperswadować, że schody istnieją po to, aby zejść po nich bezpiecznie z czwartego piętra, zamiast skakać z okna na ulicę.

Każdy jednak rozsądny człowiek rozumie, że cierpliwość i wytrwałość jest w życiu konieczna. Dla każdego jest jasne, że tylko spokojna, celowa, nie narażająca na uszczerbek materialny gra na Loterii Państwowej może prowadzić do pożądanego celu — do wygranej.

Na tysiące liczy się już dzisiaj ludzi, którzy zapewnili sobie Jutro i patrzą pogodnie w przyszłość, dzięki Loterii Państwowej.

Nie jest więc wcale paradoksem powiedzonko jednego ze szczęśliwych graczy, znanego szerszym warstwom publiczności w stolicy:

„Gdyby Loterii nie było, należałoby ją wymyśleć“.

Usta dla fajki

Czy fajka dla ust?

Niestety, jeszcze bardzo często zdarza się u nas, że urzędnicy państwowi czy komunalni są wyznawcami zasady, że nos jest dla tabakiery, a nie odwrotnie. Jaskrawym i skandalicznym dowodem tego jest fakt, który się wydarzył w ubiegłą sobotę na Dworcu Głównym.

O godzinie 15-ej zjawiła się na dolnym peronie pewna pani, która zakupiła rano w Orbisie bilet na torpedę do Łodzi. Przy wsiadaniu okazało się jednak, że *urzędniczka Orbisu mylnie wpisała na bilecie numer torpedy*

i, że bilet wydany został na torpedę, odchodzącą o 10-ej rano.

Wobec tego, owa pani udała się do dyżurnego ruchu z prośbą, aby zechciał jej pomóc, ponieważ bardzo jej zależy na tym, aby jednak tą torpedą pojechać, bodaj nawet bez miejsca siedzącego.

Pan dyżurny ruchu nietylko, że nie chciał nic pomóc, ale wykrzyknął jeszcze opryskliwym tonem:

„Pani już pojechała!! Pani nie ma prawa drugi raz jechać!!“

Zdumiona takim zachowaniem, dama odpowiedziała na to nie bez logiki, że nie pojechała, skoro tutaj jest i, że nie jej wina, że Orbis mylnie wpisał numer pociągu.

Na to pan dyżurny ruchu odpowiedział w niesłychanie arogancki sposób:

„Jakim prawem kupuje pani wcześniej bilet i wprowadza ludzi w błąd!!!“

Jeżeli pan dyżurny ruchu na Dworcu Głównym w Warszawie nie wie, że instytucja Orbis po to właśnie istnieje, aby pasażerowie mogli wcześniej kupować bilety, nie powinien zajmować tak odpowiedzialnego stanowiska, a w każdym razie jego władze zwierzchnie mogłyby go nauczyć taktu, dobrego wychowania i ogłady. Jego obowiązkiem jest pomagać pasażerom a nie w ordynarny sposób gardłować!

(K.)

U nieznanych sąsiadów

Korespondencja własna „WIEM WSZYSTKO"

BUKARESZT, w październiku.

Wśród wielu grzechów naszej rzeczywistości, jedno z najbardziej poczesnych miejsc zajmuje... wręcz katastrofalna zaściankowość polska. Polacy, którzy ukuli tyle dowcipów złośliwych na temat francuskiej nieznajomości geografii, ignorancji geopolitycznej Lloyd Georg'a, którzy, słusznie zresztą, oburzają się na każdy list, zaadresowany: Warschau-Russland, są klasycznym przykładem narodu,

który zastraszająco mało wie o tym, co się dzieje nietylko na szerokim świecie, ale nawet u naszych najbliższych, najbardziej bezpośrednich sąsiadów.

Wiele na świecie zmieniło się, glob przeorany został setkami kataklizmów, rodziły się i umierały pokolenia, zmieniały, niczem w kalejdoskopie mapy polityczne, tylko zaścianek polskiego szlachetki

pozostał niewzruszony, obojętny na wszystko,

zasklepiony w codzienności, a obczyznę znający albo z krwawego potu chłopskiej emigracji, albo z pańskich eskapad do... badów i na ruletę.

Dzisiaj, chociaż wiele się zmieniło w polskim zaścianku, chociaż co krok mówimy dużo i głośno o wielkiej, mocarstwowej Polsce, to jednak... łatwiej przyciąga nas egzotyzm dalekich krajów, niż niezbędne, właśnie dla mocarstwowości Polski poznanie jej sąsiadów.

GDZIE OBIEKTYWNI DZIENNIKARZE?

Mogąc poszczycić się tej miary pisarzami - podróżnikami, co: Lepecki, Fiedler, Ossendowski, Janta-Połczyński, Centkiewicz, buszującymi z talentem po dalekich lądach, cierpimy na chroniczny brak uczciwych obserwatorów-dziennikarzy, którzy potrafiliby tak, jak to robią ich koledzy zachodnio-europejscy czy amerykańscy, rzeczowo, a przejrzyście zrelacjonować to wszystko, co się dzieje wokół Polski, tuż za miedzą graniczną. Obok Konrada Wrzosa, reportera na europejską skalę, mamy jeszcze dwu dziennikarzy, którzy pracowicie przepenetrowali współczesne Niemcy — Jerzego Rogowicza i Antoniego Sobańskiego i młodzieniaszka - Radzimińskiego, odważnie, a sprawnie stawiającego pierwsze kroki na światowych szlakach. I... na tym koniec.

PIŃDUL RZĄDZI!

Dalej już rządzi t. zw. pińdul dziennikarski.

Pińdul dziennikarski, to zjawisko bardzo groźne, tym groźniejsze, że właśnie on jest sprawcą naszego fałszywego spojrzenia na sąsiadów, naszej, wręcz rozbrajającej ignorancji, która w wielu wypadkach przekształca się w zgoła tragiczne następstwa.

Nie bądźmy jednak gołosłowni. Pińdul postanawia przekształcić się w reportera-globtrottera. Szlak pierwszej eskapady: Warszawa - Bukareszt - Constanza i czarnomorskie plaże...

Dlaczego właśnie tam? W Rumunii jest tanio i

pińdul ma sentyment do sprzymierzonego kraju.

Uprzejme poselstwo z niezwykłą wyrozumiałością załatwia wszelkie udogodnienia. Pińdul jedzie niczem wcielenie Alberta Londres'a czy Knickerboker'a, włóczy się po bukareszteńskich ulicach, kąpie w Czarnem morzu, wraca do ojczyzny i... szlachetków z rodzimego zaścianka

uszczęśliwia stekiem bzdurstw,

które w najmniejszym stopniu nie pozwalają na odtworzenie właściwego oblicza Rumunii.

PRZYKRA PRZEPAŚĆ

Myślę o tym, gdy słucham wywodów znajomych Rumunów, którzy z odcieniem żalu i niecierpliwości mówią o tym, że przepaść między obydwu, sprzymierzonymi mocarstwami kopał nie p. Titulescu, a zasypywać będzie nie p. Antonescu, ale tylko i wyłącznie była ona dziełem

zastraszającej wzajemnej nieznajomości.

Tu trzeba stwierdzić, że Rumunia wie o nas naogół więcej. Wynika to niewątpliwie i z bardziej rzeczowego podejścia prasy rumuńskiej, oczywiście tej nieskorumpowanej przez p. Titulescu, dla sprawy polskiej, jak i z iście syzyfowej pracy naszego press-attache w Bukareszcie p. Mieczysławskiego.

Nie znaczy to bynajmniej, abym chciał powiedzieć, że biuro prasowe poselstwa Rumuńskiego w Warszawie mniej interesuje się prasą miejscową. Uchowaj Boże,

to tylko prasa nasza nawiązuje kontakt z Rumunami jedynie w chwilach, gdy trzeba starać się o bilety bądź wizy,

poza tymi wypadkami Rumunia dla większości polskich dziennikarzy jest krajem... niesłychanie mało interesującym.

A w rzeczywistości?

TRZEBA ICH POZNAĆ

Po transformacjach, jakie przeszły Niemcy, Rumunia jest w chwili obecnej jednym z najciekawszych terenów przemian polityczno - ekonomicznych. Ten kraj, tak wspaniale bogaty, tak bardzo upstrzony kontrastami, to szlachetnie ubogi, to znów parweniuszowsko modny kraj, trwałej prosperity, podsycanej niewątpliwie chroniczną dewaluacją tamtejszej waluty, ten kraj, zdawałoby się, powinien stać się obiektem naszej specjalnej uwagi.

Na podstawie szeregu rozmów zarówno z Rumunami, jak i cudzoziemcami znakomicie zorientowanymi w tamtejszych stosunkach, mogę śmiało zaryzykować twierdzenie, że *nasza ekspansja gospodarcza mogłaby właśnie na rynkach rumuńskich znaleźć znakomite pole do popisu.* Ale oto już słyszę zastrzeżenie, że z Rumunami nie sposób pracować, że są niesłowni, że praca z nimi zbyt wiele pobocznie kosztuje, że nigdy nic nie wiadomo...

I to są właśnie te kłody, które oddzielają nas od sprzymierzonego kraju. Kłody zresztą w rezultacie zupełnie nierealne dla każdego dobrego kupca, rzutkiego przemysłowca, a natomiast — niebosiężne dla wiecznie obrażającego się, wytwornego „delegata" polskiego, który wyobrażał sobie, jadąc do Rumunii, że tylko na niego tam czekają.

PANOWIE OBRAŻAJĄ SIĘ

Tymczasem... Rumunia jest dzisiaj terenem zaciekłej walki o rynek zbytu. Biorą w tej walce udział co najtęższi, co najsprytniejsi gracze całej Europy i Ameryki, żeby zwyciężyć,

trzeba o wielu rzeczach zapomnieć, potrafić nagiąć się do rzeczywistości, a przedewszystkiem trzeba raz na zawsze zrezygnować z... wielkopańskiej dostojności w stosunku do narodu, który Bogiem a prawdą mówiąc, ma mniej więcej takie same prawa do tej dostojności, co i my.

DLACZEGO?

Niewątpliwie polskiego dziennikarza, który do Rumunii przyjechał spędzić urlop, taniej nota-bene niż w rodzinnym kraju, uderzą przede wszystkiem: ładne, eleganckie kobiety, lalkowaci oficerowie, wspaniałe taksówki i imponujące domy mieszkalne, jednakże aby to Rumunię poznać nieco głębiej, już chociażby tylko dlatego,

aby zorientować się w jaki to magiczny sposób, gdy świat cały jęczy w okowach kryzysu, w Bukareszcie niby grzyby po deszczu rosną luksusowe taksówki,

trzeba przyjrzeć jej się nie przelotem, z okien „rapidu" uwożącego nas na czarnomorskie plaże, ale spokojnie, do głębi, ważąc wszystkie plusy i minusy tego kraju, gdzie ponad wodzącymi się za łeb potężnymi partiami, ostateczny głos ma pozornie bezsilny król.

WIELKI POLITYK

Po dymisji min. Titulescu zrobiło się głośniej o Rumunii w prasie polskiej. Już chociażby tylko dlatego, głośniej, że z niezwykłą radością wylewano na głowę ex-ministra zagranicznej polityki Rumunii, kubły pomyj. Trudno się dziwić, zważywszy, że min. Titulescu bynajmniej nie należał do entuzjastów przyjaźni polsko-rumuńskiej.

Ba, ale jesteśmy wszakże narodem o rycerskich tradycjach, i ten właśnie fakt powinien był nam przypomnieć o jednym, że jednak Titulescu, mierny mąż stanu,

był wielkim politykiem i dobrym synem swej Ojczyzny.

Być może, że jego linia polityczna nie wszystkim mogła się podobać i to nietylko za granicami, ale i w samej Rumunii, nie przeszkadza to jednak, że dla tej właśnie Rumunii zrobił on bardzo wiele, wprowadził ją w świat. To należało, uczciwie, po męsku ocenić, nie zasklepiając się w przyziemnych animozjach.

I oto zamiast „odgrywania się" na powalonym przeciwniku, zamiast bzdurnych i tanich dowcipuszków na temat czy to historii ministra czy bardzo osobistych upodobań p. Titulescu, zamiast idiotyzmów o nagusach z Eforje, czy innych tym podobnych kretynizmów, lepiej byłoby zainteresować się

rosnącym nacjonalizmem rumuńskim, przeobrażającym się z godziny na godzinę w wielkiem państwem, które dla nas, Polaków ma specjalnie ważkie znaczenie.

No tak, ale o tem jak należy pisać o Rumunii decyduje... pińdul.

MŁODZI MÓWIĄ

Rozmawiam z przedstawicielami młodzieży rumuńskiej, od najbardziej prawicowych, do skrajnie lewicowych. Pytają mnie poprostu, uczciwie, otwarcie patrząc w oczy:

„dlaczego tak mało interesujecie się nami, dlaczego mówiąc o Rumunii mówicie o łapownikach, o domach publicznych, o wykrygowanych oficerkach, o luksusie Bukaresztu? Dlaczego pomijacie milczeniem wielkie przemiany polityczne, ruch młodych na wszystkich frontach żołnierza, który coraz bardziej przekształca się z ciemnego sołdata w świadomego swych obowiązków obrońcę ojczyzny? Dlaczego nie sięgniecie do sedna tego, rzekomo „typowo rumuńskiego" łapownictwa?".

I... przyznam się, trudno mi było znaleźć odpowiedź. Trudno było tym ludziom młodym, pełnym niespożytej energii wytłumaczyć, że mimo wszystkie, obopólne wady, mimo wszystkie przeszkody, bardzo pragnęlibyśmy... poznać się, szczerze, po przyjacielsku, po męsku, gdyby nas nie odgradzał... pińdul, smutny symbol polskiej rzeczywistości, złośliwy twór bezkarnie żerujący na podatnym gruncie naszej... manii wielkości.

Włodzimierz Popławski.

Od Redakcji

Od p. Maliszewskiej, wdowy po ś. p. Edwardzie, znanym zbieraczu i bibliofilu otrzymujemy list, w którym autorka nawiązując do artykułu naszego p. t. „Czesi kupić chcieli" (nr. 38 W. W.), stwierdza, że całą spuściznę pamiętnikarską powstańców z 1863 r., a także „słownik powstańców", sporządzony przez ś.p. Edwarda Maliszewskiego, sprzedała Bibliotece Narodowej. Fakt ten potwierdza dyrektor Biblioteki p. Stefan Demby, czujemy się więc w obowiązku powyższe wyjaśnienie podać do wiadomości publicznej, zastrzegając sobie prawo powrotu do tej sprawy.

WIEM WSZYSTKO

Tydzień ubiegły

Na wyższych uczelniach Polski rozpoczął się nowy rok akademicki.

Jak zwykle, tak i w tym roku zrobiono trochę szumu koło uroczystej immatrykulacji nowych studentów, zajęto się osobami nowych rektorów, delektowano się ich wspaniałymi przemówieniami...

I jak zwykle nie zwrócono najmniejszej uwagi na dane statystyczne, ilustrujące ilu studentów rozpoczyna studia, a ilu je kończy.

Nie zwraca się u nas uwagi na takie „błahostki“, jak to, że kończy wyższe uczelnie w Polsce, przeciętnie 7 — 8 procent studiujących.

Co rok za tym, wyższe uczelnie w Polsce, przyjmując w swe mury, niejednokrotnie tysiące studentów, wypuszczają zarazem zaledwie kilku fachowców.

Jest to fakt bardzo smutny. Fakt, nad którym nie można wciąż przechodzić do porządku dziennego, fakt, którego n i e w o l n o bagatelizować.

Cóż bowiem dzieje się z tą całą falangą młodych zapaleńców, którzy z całym zapałem swej młodości zabierają się do studiów i... nie dochodzą do mety. Jakie przyczyny powodują to gwałtowne „wyludnianie“ się starszych roczników uniwersyteckich lub politechnik.

Słyszymy niejednokrotnie narzekania na system szkolenia młodzieży w szkołach średnich. Słyszymy wciąż żądania ustanowienia specjalnych egzaminów, celem dopuszczenia młodzieży do wyższych studiów. Mówi się wciąż o katastrofalnym wprost obniżeniu poziomu umysłowego uowych pokoleń.

Czyżby to były te właśnie przyczyny „wyludniające“ starsze lata szkół wyższych?

Jak w każdych przypuszczeniach i w tym, zapewne, jest część prawdy. Niewątpliwie jednak nie są to wszystkie i n a j w a ż n i e j s z e przyczyny.

Zwróćmy bowiem uwagę na to, że przecież już od szeregu lat wstępne egzaminy na wyższe uczelnie zostały wprowadzone. Poczyniono więc odpowiednie utrudnienia, aby nie dopuścić do „świątyń“ wiedzy elementu niepożądanego, niedostatecznie przygotowanego.

Naszym zdaniem do tego zastraszającego wprost spadku kończących studia przyczyniają się dwie rzeczy: ciężkie warunki materialne studentów i, że się tak wyrazimy, doktrynerstwo ciała pedagogicznego.

Zaraz wyjaśnimy, co rozumiemy pod tym określeniem doktrynerstwo. Weźmy konkretny fakt, np. Politechnikę warszawską.

Ogólnie jest wiadomym, że poziom naukowy w Politechnice warszawskiej jest bardzo wysoki. Ośmielimy się powiedzieć, że nawet za wysoki, jak na ludzi żywych.

Wiadomą jest przecież rzeczą, że jeśli komuś jest ciężko studiować w Politechnice warszawskiej, jedzie do Lwowa. Jeśli i tam jeszcze ciężko, jedzie do Gdańska. Tam bowiem tworzą fachowców, d o b r y c h f a c h o w c ó w, gdy w Warszawie n a u k o w c ó w.

Weźmy drugi przykład. Spytajmy kogokolwiek, obznajmionego dobrze ze stosunkami budowlanymi, co sądzi o architektach, kończących Politechnikę stołeczną. Padnie natychmiastowa odpowiedź: „To są artyści...“ Właśnie artyści! I dlatego większość domów w stolicy planują albo starzy architekci, albo wychowankowie innych uczelni...

Przesadny nacisk na rzeczy nie życiowe, przesadne tworzenie naukowców, uważamy za jedną z najważniejszych przyczyn tak minimalnej liczby kończących studia. Ludzie żywi, nie mogą wprost podołać pedantycznym i rygorystycznym metodom wykładających naukowców, załamują się i w wyniku, zamiast dobrego fachowca przybywa Polsce jeszcze jeden dyletant.

Dobrą rzeczą niewątpliwie jest stworzyć duży zastęp naukowców, ale nie można tego typu narzucać wszystkim. Ktoś, kto nie będzie nigdy naukowcem, może jednak przecież być dobrym fachowcem. Po co go za tym niszczyć dla doktryny.

Drugiej przyczyny, ciężkich warunków materialnych młodzieży, nie potrzeba wyjaśniać. To są rzeczy jasne dla każdego Społeczeństwo i Państwo śpieszą zresztą, w miarę swych możności z pomocą.

Ważnym jednak i względnie łatwym jest zmienić nastawienie w kierunku nauczania na wyższych uczelniach: „Tworzyć fachowców, a nie tylko naukowców“.

I g n i s.

Czyżby naprawdę?...

...jeden z filmowców branży „krótkometrażowej“ powoływał się na bardzo zażyłe koneksje z... II-im Oddziałem? Ten oliwkowy brunecik, cierpliwie wydeptujący kurytarze najróżniejszych ministerstw (a zwłaszcza MSZ...), zdaje się w ten sposób usiłuje załatwiać swe porachunki z „czarną sotnią“ filmową.

•

...w Expressie Porannym pracowali analfabeci? W numerze niedzielnym z dn. 18-go b. m. w rubryce zatytułowanej: „Niedyskrecje“ bliżej nam nieznany Argus drukuje artykulik o Nansenie „z okazji 70-cio lecia urodzin“ wielkiego podróżnika i badacza. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie mała drobnostka: oto Nansen... zmarł w maju 1930 r. A fe, panie Argus!

•

...na kierownika miejskiej szkoły baletowej został zaangażowany p. Aleksander Sobiszewski? Interesujących się tą sprawą napewno zastanowi fakt, że tak odpowiedzialną placówkę powierzono człowiekowi nie mającemu żadnego przygotowania do pracy pedagogicznej, p. Sobiszewski prowadzi bowiem od szeregu lat szkołę tańców salonowych, a przytem jest człowiekiem bardzo zamożnym.

•

...w sprawie adw. Karena przeciwko PAST‘cie, rozpatrywanej obecnie przez sąd okręgowy ma nastąpić szereg wręcz rewelacyjnych momentów? Oto między in. ma zeznawać pewien major W. P., który wyjeżdżając na urlop, wezwał do swego mieszkania notariusza i polecił mu... opieczętować aparat telefoniczny. Jakież było zdziwienie i oburzenie majora, gdy po powrocie z urlopu otrzymał od PAST‘y rachunek za... nadliczbowe rozmowy z... opieczętowanego telefonu.

„Płomyk“ uczy
niezwykłych bzdur

„Płomyk“ zorganizował teatr objazdowy dla dzieci. Bardzo ładnie. Narobiono dookoła tego wiele wrzawy. Też ładnie. Ale przypadkowo rzuciliśmy okiem na przedrukowane w ostatnim numerze „Płomyka“ utwory, wystawione przez dany teatr. I tu zaczyna się zabawa psuć.

Utwory dramatyczne czy komediowe Tuwima, Andy Kitschmann i innych autorów posiadają wielką wartość, ale któryś z matadorów Związku Nauczycielstwa zabawił się w „tłumacza“ i zaopatrzył wydrukowane w „Płomyku“ dzieła w błędne, bałamutne i częstokroć idiotyczne komentarze.

Zwłaszcza brak orientacji „adaptatora“ daje się zauważyć w obrazku ze Śląska, gdzie słowa „wurszt z mostrychem“ przetłumaczono w nawiasie na „kiszka“! A słowo „napojczała“ na „przygotowała“ zamiast „napożyczyła“. Prawdopodobnie pan tłumacz nigdy nawet nie wąchał powietrza śląskiego!

Podobne bzdury powtarzają się nader często, a te uwagi mają przecież być ułatwieniem i nauką dla dzieci. Ładna nauka, niema co! *Kom.*

Bogaci „nędzarze“
Zerknijmy za kulisy zarobków komorników

Raz po raz zdarza się ostatnio wykrycie jakichś nadużyć, popełnionych przez komorników.

Zastanówmy się też, co może być przyczyną tej prawdziwej epidemii. Czy może nie fachowość, niedbalstwo lub też starcze niedołęstwo?

Naszym zdaniem, nie!

Główną winę ponosi tu *brak poczucia odpowiedzialności, solidności, oraz... rozpasanie,* jakie, w związku z olbrzymimi zarobkami w latach „prosperity“ 1925—1930“ przeniknęło do sfer komorniczych w Warszawie.

W latach tych bowiem *zarobek 7—9 tysięcy złotych miesięcznie* nie był niczym nadzwyczajnym. Do takich przecież zarobków sami komornicy przyznawali się, w wykazach podatkowych.

Rezultatem tych wielkich zarobków był wprost owczy pęd do dodatkowych interesów, celem jak najwydatniejszego powiększenia swych fortun.

W latach też 1925—1930 nabyli posiadłości ziemskie lub nieruchomości w Warszawie następujący komornicy:

Komornik Konstanty Chęciński jest właścicielem 2 domów na Powiślu i majątku ziemskiego o obszarze 30 ha w powiecie pszasnyckim; zwolniony został ze swego stanowiska w 1934 r.

Komornik Gustaw Jesionowski, zwolniony w 1932 r., jest właścicielem olbrzymich obszarów pod Jabłonną, gdzie prowadzi eksploatację pokładów żwiru. Miał on dostawy dla dyrekcji kolejowej, sięgające 200.000 zł. Przed tym był sekretarzem sądu, zna go cała palestra warszawska i pamięta świetnie jego wyświechtany surdut, który zamienił na wytworny angielski garnitur.

Komornik Tomasz Byliński, urzędujący obecnie na 5 rewirze egzekucyjnym, b. sekretarz sądu, posiada luksusowy pałac w Klarysewie, który wydzierżawił ambasadzie angielskiej za 35 tysięcy złotych rocznie;

Komornik Stefan Kraszewski, urzędujący na I rewirze, jest właścicielem 2 kin w Dęblinie, dających czystego zysku 6 tysięcy złotych miesięcznie, co zresztą lojalnie wykazuje w swych zeznaniach;

Komornik Adolf Błoński, urzędujący na 3 rewirze od 1933 r. posiada majątek ziemski pod Grójcem, wartości 250 tysięcy złotych. Jest to b. student prawa, który został komornikiem przed 3 laty. A chyba w czasie studiów nie dorobił się majątku. Szwagier jego *komornik Władysław Paziński* w Mogielnicy, po 4 latach urzędowania nabył majątek ziemski obok swego szwagra w powiecie grójeckim, za który zapłacił w ub. roku 175 tysięcy złotych gotówką;

Komornik Stanisław Sitkowski, b. urzędnik wydziału karnego min. sprawiedliwości, urzędujący od 1930 r. na 5 rewirze w Warszawie, jest właścicielem domu przy ul. Puławskiej 67. Miesięczny jego dochód wynosi około 5.000 zł;

Komornik 10 rewiru Władysław Kowalski, b. naczelnik urzędu skarbowego w Sochaczewie, urzęduje w Warszawie od 2 lat. Ma on pod Sochaczewem 2 folwarki i jest największym dostawcą mleka z pow. sochaczewskiego do Warszawy. Syn jego kształci się w Clarence Colledge w Cambridge w Anglii;.

Komornik 13 rewiru Leonard Parnowski, b. sekretarz sądu, jest właścicielem willi „Kasztelanka“ w Konstancinie. Wartość willi, z parkiem i lasem, przewyższa 100.000 zł.;

Komornik 15 rewiru, Zygmunt Barylski, osadzony przed paru miesiącami w więzieniu za nadużycia, zajmował przy ul. Hożej 57 luksusowy apartament 12 pokojowy z ogródkiem, do którego kwiaty i palmy sprowadzał z Włoch, płacąc rachunki za kwiaty po kilka tysięcy złotych. Barylski liczył 47 lat, a komornikiem był dopiero od 3 lat.

Komornik 17 rewiru, Tomasz Pawełkiewicz, urzęduje od 4 lat i ma majątek ziemski pod Skierniewicami

Komornik 19 rewiru, Święcicki, aresztowany w 1930 r. budował dom i tak się rozbudował, że zdefraudował około 50 tysięcy złotych, do czego przyznał się na rozprawie sądowej;

Komornik 28 rewiru, Wawrzyniec Słowikowski, jest obywatelem ziemskim i w Mińsku Mazowieckim posiada 24 domy na rynku. Sąsiadem jego i teściem jest Ludwik Michalczyk, b. komornik 23 rewiru w Warszawie, który zakupił dosłownie pół Mińska Mazowieckiego, gdyż cała część Mińska Maz. t. zw. „Stankowizna“ jest jego własnością;

Komornik 30 rewiru, Klemens Szeronos, b. intendent sądu, jest właścicielem 4 domów na sadybie oficerskiej w Czerniakowie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, domy te budowane są w 1935 r., gdy p. Szeronos został komornikiem w 1933 r.

Jak wobec tych danych wygląda oboiewanie w jednym z pism warszawskich nad „mizernymi“ zarobkami komorników?

Te „mizerne“ zarobki są zapewne świadomą pomyłką, wynikającą z tego, że w ub. roku *komornicy w Warszawie utworzyli t. zw. „kocioł“.* Polega on na tym, że jako minimum zysku miesięcznego, bez wydatków i opłat na rzecz skarbu państwa, gremium komorników ustaliło sumę, 1300 zł. miesięcznie.

W ten sposób komornicy, zarabiający *ponad 1300 zł. miesięcznie,* wpłacają nadwyżkę do zarządu zrzeszenia, który dzieli tę sumę pomiędzy wszystkich.

Pikantnym szczegółem jest niewątpliwie fakt, że te wszystkie bajońskie zarobki komorników, *są „dochodami pobocznymi“. Komornicy bowiem są obecnie urzędnikami na pensji, którą otrzymują ze Skarbu Państwa w wysokości 275 zł. miesięcznie.* Wydatki kancelaryjne i t. p. nie obciążają komornika, gdyż sumy te płaci strona oddzielnie, w postaci t. zw. opłat od wniosków i sumy te nie są wliczone do t. zw. przelewu na rzecz Skarbu Państwa.

A więc ostatecznie wniosek, że nie dylentantyzm lub starość są przyczynami nadużyć w kancelariach komorników, *a tylko brak umiaru, chęć użycia... mania wielkości,* polegająca na urządzaniu wielkich kancelarii, sztabu urzędników i t. p.

W poznańskim i na Pomorzu niema nadużyć komorników. W Niemczech bowiem komornicy byli urzęd-

dalszy ciąg na str. 6-tej

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewia — Kino

„STRASZNY DWÓR" (Opera Warszawska). Nowe kierownictwo opery zainaugurowało sezon pięknym dziełem Moniuszki w utalentowany sposób „przyćmionem" bezsensowną reżysérią Zelwerowicza. Na czoło wykonawców, a raczej istotnie pięknych dekoracyj Wolyńskiego wysunęli się: Plattówna, Mossakowski i Znicz. Mazur w układzie Leontiewa sprawiał wrażenie równe filmom „rosyjskim" wykonanym w... Hollywood. Widownia szczelnie wypełniona „kartkowiczami", zachowywała się bardzo lojalnie. Eugeniusz Świerczewski — Migowa w spodniach, czyli press-manager p. Mazarakiego prezentował bosko skrojony frak, niewiadomo dlaczego bez... orderów.

Ig.

„ŚLUBY PANIEŃSKIE" (Teatr Narodowy). To ładnie wyreżyserowane, barwne przedstawienie polecamy zarówno młodzieży szkolnej, jak i sceptykom, źle nastrojonym po długotrwałym katzenjamerze. Gra aktorów jest tak poprawna, tak bardzo zapięta na „ostatni guzik", że albo trzebaby było wymienić wszystkich wykonawców, albo żadnego. Wybieramy to ostatnie. Staranna reżyseria Stanisławskiego, grzeczne, dekoracje Jarockiego, całość... ff, czyli b-cia Front. Kartka za dwa złote dopuszczalna, a nawet wskazana.

„SZKOŁA ŻON" (Teatr Ateneum). Jeśli zgóry uwzględnimy: otwarcie sezonu, prestiż, wysoką markę Jaracza, etc., wystawienie zgrabnego Moliera będzie całkowicie uzasadnione. W przeciwnym razie wybór tej właśnie sztuki, w tym właśnie teatrze budzi pewne zastrzeżenia, co do... kasowości imprezy. Ponieważ jednak Jaracza stać na takie gesty, więc przedstawienie w Ateneum, jak zwykle misternie przez Perzanowską sklecone jest efektowne i godne widzenia. Przy Jaraczu niknie reszta zespołu, a p. Pośpiełowski staje się wręcz nieznośny. Miła, ale bardzo jeszcze surowa p. Polakówna. Dekoracje Daszewskiego — przeciętne.

Widz.

„TONI Z WIEDNIA" (Kino „Roma"). Pierwszy występ publiczny „Polskiej Spółki Filmowej" stanowczo się nie udał. „Toni z Wiednia" jest filmem błahym, nudnym, rozwleczonym w nieskończoność, technicznie słabym i reżysersko niemożliwym. W powodzi potwornych dłużyzn, podczas których chciałoby się reżyserowi (Max Neufeld) zastrzyknąć trochę energii, wyróżniają się zaledwie trzy czy cztery sceny naprawdę miłe i udałe. Wykonanie aktorskie bardzo przeciętne. Słynny Chór Chłopców Wiedeńskich zupełnie niewykorzystany. Jednym słowem — pozycja zupełnie beznadziejna w dzisiejszych czasach, kiedy naprawdę ukazują się coraz to jakieś doskonałe obrazy.

Nad program — nędzne wykonanie wzniosłego tematu: krótki metraż o ślubowaniu akademickim w Częstochowie.

„W BLASKU SŁONECZNYM" (Kino „Bałtyk"). Recenzje z filmów Kiepury można właściwie napisać wszystkie w jednej „tonacji". Różnice w poszczególnych jego filmach są minimalne. Treść zawsze błaha i nie specjalnie ciekawa, reżyserja lepsza lub trochę gorsza, i wreszcie śpiew samego mistrza, który dla jednych jest rozkoszą, a dla drugich staje się już powoli uprzykrzonym wyciem. W zależności od nastawienia warto na film Kiepury wybrać się czy też nie. Jeśli idzie specjalnie to obraz, wyświetlany w „Bałtyku" — należy do rzędu gorszych i mniej udałych, ale w każdym razie znacznie przewyższa oglądaną niedawno szmirę paramountowską. Friedl Czepa, partnerka Kiepury, olśniewa doskonałemi tualetami. Pozatem jest miła.

X. 27.—

Na dwa fronty

Czytelnik, interesujący się zagadnieniami filmowymi, musiał chyba ostatnio być mocno zdziwiony wyczynami prezesa Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych pana Tadeusza Kończyca. Dnia 10 b. m. ukazał się numer czasopisma „Film", zawierający wstępny artykuł pióra Tadeusza Kończyca p. t. „Nic — tylko tworzyć!". Cały elaborat był propagandą hasła, że należy w Polsce tworzyć jaknajwięcej filmów, nie oglądając się na wartość artystyczną. Najpierw należy zająć odpowiednie miejsce pod względem liczebnym,

potem dopiero zatroszczyć się o jakość produkcji.

Można oczywiście i tak, panie prezesie!

Ale w dwa dni później, dnia 12 b. m. ukazał się w „Kurjerze Warszawskim" artykuł tegoż pana Kończyca, w którym autor z godnością i zapałem występuje...

właśnie przeciwko masowej produkcji.

Przeciętnie inteligentny człowiek, który dostał do ręki te dwa artykuły, musiał sobie chyba zadać pytanie: Kto właściwie zwariował, ja czy pan prezes?

Q.

dokończenie ze str. 5-ej.

nikami sądowymi, mieli niewielkie pobory, a musieli ciężko pracować.

System komorniczy, jako przedsiębiorstwo, jest smutną pozostałością po rządach rosyjskich. Przedsiębiorstwo to nie płaciło żadnych podatków, a dawało ludziom, nie raz o niskim wykształceniu, pole do szalonych zarobków.

Zabrać za tym komornikom udział w zyskach skarbowych, który mają obecnie w wysokości 60 procent, dać im pensję, jaką pobierają sekretarze sądowi, nauczyć ich ciężko pracować, zredukować rewiry, a wówczas nie będzie nadużyć ani kryminału.

Ten

Łączka kretynów

Popularny „Mały Dziennik" w nr. z dn. 9.10 r. b. przynosi swym Czytelnikom garść cennych uwag na temat... walki z wszami. Prosimy przeczytać uważnie:

„Idealnym środkiem przeciw wszom jest zwyczajna waselina, wesz pełzająca po skórze czy włosach natartych waseliną, wciera sobie odrobinę waseliny w uchodzące po jej brzusznej stronie otworki tchawek. Waselina nie tylko że zatyka sam zewnętrzny otwór, ale dzięki swym własnościom fizycznym wciska się w głąb kanalików oddechowych wszy, skutkiem czego owad ginie natychmiast z uduszenia.

Jak stosować waselinę przeciw wszom? Waseliny należy użyć w ilości dość dużej, by od jednego razu zabić wszystkie wszy. Bierze się dwie gałki waseliny, każdą wielkości orzecha. Ilość ta wystarczy na całą głową. Gałki te zmiękną w ręce pod wpływem ciepła skóry i dadzą się doskonale rozetrzeć po całej głowie. Rozprowadzona po skórze, napoi waselina równocześnie i włosy, niszcząc momentalnie wszystkie żywe wszy, a przeważnie również i ich zarodki.

Już po upływie jednej godziny można całą głowę zmyć doskonale mydłem. Wszystkie wszy są zabite. Lepiej jednak zmyć głowę dopiero nazajutrz — efekt będzie w ten sposób pewniejszy. Przed umyciem głowy dobrze jest wytrzeć ją doskonale czystą szmatką, potem dokładnie wyczesać, a później dopiero doskonale zmyć gorącą wodą i mydłem.

Wpierw waselina — potem ocet.

Teraz trzeba zniszczyć jaja wszy. Fakt zasadniczy: jajo wszy, otoczone ochronnym pancerzem z chityny, jest doskonale odporne przeciw działaniu zasad chemicznych."

Chyba dosyć?

Braciszkowie złoci, a nie lepiej nauczyć wszy boksu i wtedy same pozabijają się... Albo jeszcze prościej, łep wpakować do pieca i wszystkie wszy zginą w płomieniach.

•

W „Dzienniku Bydgoskim" z dn. 11.10 r. b. czytamy taką propozycję:

Niucia prosi wstąpić, niedziela.

Ile?

•

Jedno z najbardziej interesujących pism stołecznych „Echo Artystyczne", organ „Polzawidu" w sposób barwny i nie pozbawiony swoistego humoru opisuje w nr. 10 następujące zajście swego naczelnego redaktora, pod intrygującym tytułem: „Jak to nazwać??? Murzyn w Polsce zanadto sobie pozwala":

„Dnia 30 września r. b. redaktor naczelny naszego pisma p. Klemens Klemar-Arenwaldt udał się wieczorem w towarzystwie swej małżonki i pewnej artystki (nota bene — członka Polzawidu) do nowootworzonego lokalu dancingowego p. n. „Kakadu" — „Sam Salvano".

Gdy redaktor Arenwaldt w wyżej wymienionem towarzystwie zasiadł do stolika przy bufecie (zaznaczamy, że nie na ogólnej sali) — dosiadły się do niego na krótki czas pp. D. Dorée z matką i Palulis (ojciec występującej w „Ka-ka-du" tancerki) wszczynając towarzyską względnie informacyjną rozmowę.

Rozmowa powyższa nie wiadomo z jakich przyczyn nie była na rękę dyrektorowi Ka-ka-du p. Semowi Salvano, który w sposób dość ostentacyjny poprosił artystów o opuszczenie stolika redaktora Arenwaldta.

Nad dziwnym, choć niezrozumiałym postępkiem p. Salvano prześlibyśmy do porządku dziennego, gdyby nie osoba samego dyrektora, którego uważamy za jednostkę wysoce szkodliwą w świecie widowiskowym Polski".

Cóż taki murzyn sobie myśli? I czy wogóle myśli? A może to p. redaktorze K.K.A. wogóle jest nie murzyn, a żyd na czarno ufarbowany?... Proponujemy bić żydo-murzynów, a przy okazji cyklistów.

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej

Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: **Henryk Sieciński.** Wydawca: **Włodzimierz Popławski**

Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Swiat 39